



Podcast „Z pasją o mocnych stronach”

Data publikacji: 05.07.2018

Tytuł: Podcast 063 – Dynamika talentów w praktyce – rozmowa z Ludwikiem C. Siadlakiem

To jest podcast „Z pasją o mocnych stronach”, odcinek 63., talenty na co dzień, rozmowa z Ludwikiem C. Siadlakiem.

Nazywam się Dominik Juszczyk i w tym podcaście opowiadam o tym, jak odkrywać swoje talenty, budować mocne strony i jak z nich korzystać w codziennym życiu. Jeśli chcesz działać skuteczniej, wykorzystując swoje mocne strony, to ten podcast jest dla Ciebie.

Cześć! Witajcie w kolejnym odcinku podcastu. Dzisiaj zapraszam Was na rozmowę z Ludwikiem, w której podyskutujemy o jego dziesięciu pierwszych talentach i pokażemy, jak korzysta z nich na co dzień. Tak dobrze nam się rozmawiało, że rozmowa okazała się bardzo długa. Uważam jednak, że jest warta wysłuchania. Dużo się z niej nauczyłem. Zapraszam Was na rozmowę z Ludwikiem.

Cześć, Ludwiku!

Cześć, Dominiku!

Dziękuję za przyjęcie zaproszenia do podcastu.

Cała przyjemność po mojej stronie.

Pierwsze pytanie: kim będziesz, jak dorośniesz?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie, gdyż ja cały czas nie czuję się dorosły. Jestem aktywatorem – to mój talent numer jeden. Moja siostra z okazji urodzin, które miałem kilka dni temu, kupiła mi dostęp do Envato. To jest taki *marketplace*, w którym można kupować layouty na strony internetowe, logo, elementy graficzne, co przydaje mi się do tworzenia różnych prezentacji. Natomiast gdy zacząłem przeglądać logo różnych rzeczy, to mój aktywator spowodował, że sporządziłem listę 16 czy 17 różnych biznesów. Wystarczyło, że zobaczyłem kawałek ikonki, i od razu byłem w stanie dorobić do tego cały koncept, jak rozpocząć biznes. Wpadłem w taką ścieżkę, że zacząłem oglądać, jak tworzyć biznes. Okazuje się, że w tej chwili Tai Lopez, który jest takim hustlerem biznesowym, podjął wyzwanie, że będzie tworzył jeden biznes dziennie. Chce zrobić ponad 200 biznesów – w tej chwili robi któryś z kolei. Tworzą biznes, patrzą kilka dni, jak on działa, i jeżeli zaczyna przynosić profity, to albo stwierdzają, że ciągną to dalej, albo ubijają go i zaczynają coś kolejnego. Więc zamiast jako aktywator stwierdzić, że zrobiłem cały plan i zobaczyłem możliwości, to może faktycznie trzeba byłoby to zrobić, a nie tylko pozwolić temu umrzeć na kartce.

Nie jestem w stanie powiedzieć, kim będę, gdy dorosnę. Nie czuję się jeszcze dorosły. Mam co prawda maselniczkę – przez całe moje życie kawalerskie, bardzo szumne i burzliwe, myślałem, że gdy już będę miał stałą partnerkę i będziemy mieć maselniczkę, to znaczy, że jesteśmy dorośli. Teraz już ją mam, ale nie czuję się dorosły.

Mam kolejne pytanie, którego nauczyłem się od Michała Śliwińskiego z Nozbe. On ma kilka powiedzonek, mówi np., że praca to jest coś, co robimy, a nie miejsce, gdzie musimy być. Na pytanie „Kim jesteś?” ludzie odpowiadają, co robią w życiu, np. że są kierowcą, trenerem, pielęgniarką, lekarzem. Tymczasem na to pytanie jest dużo trudniej odpowiedzieć, ponieważ definiujemy się przez pryzmat tego, co robimy.

Wracając do takich bardziej podstawowych kwestii, zapytam – co robisz na co dzień, co robisz, pracując, kim jesteś teraz, w tym momencie?

Zawodowo mam dwa filary swojego biznesu. Jednym z nich jest prowadzenie szkoleń technicznych u satelitów Microsoftu, czyli w tych wszystkich firmach, które organizują szkolenia związane z twardą techniczną wiedzą dotyczącą produktów Microsoftu. Moim głównym klientem jest armia amerykańska. Szkolę w całej Europie, wszędzie tam, gdzie Amerykanie poukrywani są w różnych bazach, których z reguły nie zobaczy się na mapach Google, bo są po prostu wymazane. To powoduje, że często jestem niedostępny dla świata. Mimo tego mojego ekshibicjonizmu w mediach społecznościowych, że jestem tu czy tu, to tak naprawdę od godziny 7.30 do 18 jestem niejednokrotnie obdzierany ze wszelkiej elektroniki, obwąchiwany przez psy, przeszukiwany, by sprawdzić, czy czegoś nie przemycam, wjeżdżając do jednostki i wyjeżdżając z niej – po prostu mnie nie ma.

Zajmuję się lifehackingiem, który popularnie nazywany jest coachingiem. Terminu „coaching” nie chcę jednak używać ze względów chyba coraz bardziej oczywistych – z powodu tego, co kilka jednostek na polskim rynku z nim zrobiło. Fajnie to było pokazane ostatnio u Michała Szafrąńskiego, gdy gościem podcastu był Maciek Aniserowicz. Michał zapytał się go, czym się zajmuje. Maciek powiedział, że pomaga programistom budować swój wizerunek i pracować w ten sposób. Po czym, gdy usłyszał to, co powiedział, to uznał, że musi to cofnąć, bo zabrzmiało to bardzo coachingowo. Coaching to fantastyczne, fenomenalne i genialne narzędzie, które pozwala człowiekowi uwolnić swój potencjał, otworzyć klapki, które ma. Feedback człowieka, który może z zewnątrz bardzo obiektywnie popatrzeć i wyłuskać te talenty, tę moc, którą dana osoba ma w sobie, i powiedzieć: „Słuchaj, stary, Ty naprawdę to masz w sobie, tylko daj temu szansę”, jest bezcenny – nagle ta osoba rozwija skrzydła. Niestety zostało to sprowadzone do tego, że wjeżdża się w stroju Borata na scenę i robi się show.

To było też widoczne u Radka Budzińskiego, kiedy rozmawiał z człowiekiem, który założył profil na Facebooku Zalegalizować coaching. Zaczęło się od piętnowania złych praktyk. Mam nadzieję, że są osoby, które odczarowują ten zły czar coachingu.

W pewnym momencie doszedłem do wniosku, że zrobimy sobie kalkulację, że mnie bardziej zależy na tym, żeby odczarować temat coachingu i walczyć o to, aby ten termin został przywrócony do swoich źródeł, do tego, jak dobry to jest zestaw narzędzi, o ile jest wykorzystywany przez rozsądnego człowieka. Jak wiadomo, nóż jest fantastycznym narzędziem w rękach kucharza i może zrobić niesamowite rzeczy, natomiast w rękach przestępcy jest już dużo gorszy. A jako że mamy takich „przestępców” coachingowych, to stało się tak, jak się stało. Mógłbym ukuć swój własny termin. W tej chwili pracuję nad tym, żeby wypromować termin *lifehacking*, który jest zdecydowanie łatwiejszy do przełknięcia. Jednocześnie, jeśli pracujesz w korporacji i powiesz znajomym, że masz swojego coacha, to jest taka reakcja, że wiadomo, że ten coaching to taka szarlataneria, ściema itd. Natomiast jeśli powiesz, że pracujesz z lifehackerem, który pomaga Ci zhakować i zoptymalizować pewne obszary Twojego życia – czy zawodowego, czy prywatnego, czy sportowego, czy jakiegokolwiek innego – to jest to już zupełnie inna rozmowa. To budzi ciekawość, zainteresowanie i jednocześnie szacunek do człowieka, który zdaje sobie sprawę z pewnych swoich możliwości, których do tej pory nie wykorzystywał, a chce wykorzystywać.

20% mojej pracy to praca coachingowa, jeden na jeden z innymi osobami. Mam pewne wyzwanie, by wytłumaczyć ludziom, czym różni się coaching od terapii, ponieważ pomimo, że coaching ma taką sławę, jaką ma, to jednak jest akceptowany społecznie. Praca z coachem to świadectwo tego, że się rozwijasz. Łatwiej jest powiedzieć, że idziesz do coacha niż do terapeuty, bo terapia dalej postrzegana jest negatywnie. Ja sam od półtora roku na nią chodzę i wiem, jak cudowne jest to narzędzie do poznania i rozwijania siebie.

Ależ oczywiście. Ja jestem w terapii od trzech lat i dla mnie to jest mistrzostwo świata. Ostatnie trzy sesje terapeutyczne były dla mnie bardzo uwalniające. Terapeuta pomaga w momencie, kiedy jesteś w jakimś strasznie złym miejscu, zgubiłeś się i nie widzisz możliwości wyjścia – tak jak ja, gdy wychodziłem ze zdiagnozowanej depresji. Byłem pod opieką nie tylko psychoterapeuty, ale też psychiatry, musiałem wspierać się farmakologią po to, żeby terapeutcie było łatwej pracować. Miałem takie ciemne okulary na oczach, że nie widziałem w ogóle możliwości wyjścia. Terapeuta to jest taki ktoś, kto w momencie, gdy jesteś w takiej ciemnej studni, rzuca ci linę. Oczywiście ona jest tylko Twoja, bo to nie jest człowiek, który Cię stamtąd wyciągnie – to jest tylko i wyłącznie Twoja praca, że jednak chcesz spiąć mięśnie i wciągnąć się po tej linie na górę, by wyjść ze studni. Terapeuta ma mnóstwo narzędzi do tego, żeby ta lina była dla Ciebie odpowiednia, silniejsza, grubsza bądź delikatniejsza, abyś sobie ręk na tym nie poparzył, nie zsunął się. W jakiś sposób asekuje Cię, motywuje do tego, żeby jednak iść dalej. Psychiatra z kolei to ten gość, który da ci BCAA, żebyś nie miał zakwasów od tego wchodzenia po linie. Natomiast po tym, jak już wejdiesz, proces się nie kończy – OK, wyszedłeś, stoisz na pustkowiu, obok jest jakaś góra i być może chcesz się na nią wspiąć. Terapeuta to jest ktoś, kto Cię asekuje i pozwala Ci stwierdzić, że to, że boisz się zrobić jakiś większy krok do przodu, wynika z tego, że po prostu jako dzieciak zeskakiwałeś z drabiny i skręciłeś sobie kostkę i może nie ma się czego bać.

Już mam umówioną rozmowę z psycholożką, która opowie o tym, że są różne nurty psychoterapii – ja chodzę na taką w nurcie Gestalt.

U mnie jest to psychoterapia behawioralna.

Czyli CBT albo DBT, jest jeszcze psychodynamiczna i pewnie jeszcze kilka innych, o których my, nie będąc psychologami, nie wiemy.

Ja jestem w procesie bycia psychologiem, uprawiania w Polsce studiów wyższych.

Wracając do tematu – niedawno zrobiłeś test StrengthsFinder. Chciałbym, abyś powiedział, jakie masz top 5.

Moim pierwszym talentem jest aktywator. Wspominałem o tym w podcaście „Przekaz”, który jest taką dłuższą formą moich rozmów z Jerzym Rajkowem-Krzywickim. Powiedziałem tam, że jestem Ci wdzięczny, bo gdybyś nie prowadził swojego podcastu, to ja, jako aktywator, nigdy nie usiadłbym do testu Gallupa, który ma 170 pytań, i bym go nie zrobił. Dzięki temu, że cały czas stabilnie i merytorycznie dostarczasz tę wiedzę, i przede wszystkim przez to, że to jest cykliczne, że to się dzieje, że o tym opowiadasz, to to się tak sączyło, sączyło... Zostałem Twoim patronem. Zobaczyłem, jak ludzie zaczynają to opisywać. Zobaczyłem, że Andrzej Krzywda napisał do tego swoje narzędzie, i od momentu, gdy mniej więcej miesiąc temu najpierw ja zrobiłem ten test, a następnego dnia zrobiła go moja Ania, to chyba nie było dnia, żebyśmy nie wspomnieli go à propos naszej relacji, relacji z innymi, naszych przeżyć wewnętrznych. Oczywiście mój aktywator spowodował, że odblokowałem resztę swoich talentów, żeby zobaczyć, co tam dalej słychać.

Moim głównym talentem jest aktywator, a na drugim miejscu mam indywidualizację, która bardzo mi pomaga w pracy zawodowej, w pracy trenera, ponieważ robię coś bardzo podobnego do Ciebie. Ty na swoim Instagramie powiedziałaś, że prowadzisz szkolenie i że masz problem z pracą z grupami, dlatego na samym początku witasz się z każdym z uczestników szkolenia, przez co pracujesz jak z jednostkami. Ja od 12 lat prowadzenia szkoleń robię dokładnie to samo. Dla mnie jako trenera jest nie fair to, by nie zapamiętywać 12 osób, tylko kazać im wystawiać karteczki ze swoim imieniem. Czuję, że moim świętym obowiązkiem jest zapamiętanie imienia tego drugiego człowieka. To jest szacunek. Trzeba pamiętać, że lubimy słuchać swojego imienia, więc jeśli zwracasz się do kogoś po imieniu, to OK – pamiętasz, kim on jest. Do 16 osób jestem w stanie zapamiętać w jednym strzale, natomiast powyżej tej liczby zaczynam mieć już kłopoty. Ta indywidualizacja jest dla mnie bardzo ważna, bo jestem w stanie rozpoznać, które jednostki wymagają więcej mojej uwagi, które sobie doskonale same poradzą albo które mogą wykorzystać do tego, żeby współprowadziły moje szkolenie. To jest też jedna z metod, w jaki sposób podchodzimy do różnych gatunków swoich kursantów. Jeśli ktoś próbuje udowodnić trenerowi jego niekompetencję w jakimś zakresie, to można to odwrócić i wykorzystać go do tego, żeby pomagał w prowadzeniu szkolenia. W tym momencie poczuje mój *significance*, będący moim czwartym talentem, czyli potrzebę poważania – że on nie tylko przyszedł na szkolenie, bo czuje się tylko kursantem, a mnie uważa aż za trenera, więc chce pokazać, że też dużo wie. Za to można pokazać mu, że nie jest tylko kursantem, ale wręcz aż kursantem, w związku z czym może pomóc innym. Indywidualizacja pomaga rozpoznać te potrzeby.

Najwięcej zapamiętałem 25 osób. Mam do tego technikę – nie pytam tylko o imiona, ale zadaję też dwa, trzy pytania i każda osoba przedstawia się za ich pomocą. Moje ulubione pytania na szkoleniach, które są w kontekście firmowym, to: „Za co płaci Ci firma?” i „Jedno pozytywne słowo o sobie?”. Czasami używam też kart Dixit, żeby na tej podstawie pokazali, z kim się identyfikują. Z tego powstaje bardzo indywidualny obraz w głowie. Jeśli ktoś powie, że płaci mu się za to, że siedzi 10 godzin na stołku, to pojawia Ci się jakiś obraz w głowie w porównaniu z kimś, komu płaci się za to, by przetwarzać myśli w pieniądze. Poza tym to jest świetne ćwiczenie, żeby być bardziej produktywnym. Bo zapamiętując 15–16 imion, musisz się skupić, a żeby być produktywnym, efektywnym, szybko przelączać się między wątkami w dzisiejszym świecie, trzeba też być mocno skupionym. Jedno drugiemu bardzo pomaga.

Gdy mam taką grupę na szkoleniach technicznych, to zawsze pytam się o doświadczenia w zakresie przedmiotu szkolenia i jednocześnie inne doświadczenia, czym się ten człowiek zajmuje. To jest dokładnie to, o czym powiedziałaś. Jeżeli mam dwóch gości, którzy zajmują się analizą finansową z wykorzystaniem tych konkretnych narzędzi, z których będziemy w tym tygodniu korzystać, to widzę, że tam siedzi Mike i Mark, którzy są księgowymi, więc wiem, że w tym momencie jedynym moim zadaniem jest znalezienie rozróżnienia między nimi, który jest który. Nie muszę zapamiętać, że to jest Mike i Mark spośród 14 osób, tylko muszę rozróżnić dwóch gości, bo zajmują się tym samym i siedzą koło siebie.

Są szkoleniowcy, dla których kursant to jeden z wielu, a Ty chcesz zapamiętać imiona, bo chcesz okazać im szacunek, odnosić się do nich jako do osoby.

Bo to jest indywidualizacja.

Jakie masz jeszcze talenty?

Ideation, który determinuje aktywatora do tego, żebyśmy musiał mieć to czy to, zobaczyć to czy to. Cierpię na potężne *tsundoku*, czyli kupowanie książek i nieczytanie ich. Jedną z moich głównych

porażek życiowych jest to, że nie przeczytam wszystkich książek. To mnie totalnie dołuje. Niedawno wystartował nowy podcast, który nazywa się „Między Nami Siadlakami”, gdzie chciałbym przedstawić swoją rodzinę, bo cała moja rodzina to artyści w mniej lub bardziej artystycznym zakresie. To są ludzie, którzy często pracują w swoich bibliotekach, przy biurkach, przy dłutach, papierkach nutowych i nie wychodzą na świat, bo – jak to artyści – są zamknięci w tym swoim focusie czy w tym swoim *flow*, czy *zone* sztuki. Czytam dużo książek, słucham dużo audiobooków, ale nie przeczytam nigdy wszystkiego i to jest coś, co mnie boli, bo tak chciałbym zatrzymać świat na 30 lat, przeczytać wszystkie książki i wtedy żyć dalej.

W 30 lat byś nie przeczytał.

Nie, ale przynajmniej zdołałbym ugryźć jakiś kawałek.

Kiedyś oglądałem na YouTube takie dwu-, trzyminutowe filmiki, w których pewien człowiek podsumowywał książki, rysując je na bieżąco. Pojawiało się jedno lub dwa takie wideo tygodniowo. Ktoś zapytał tego człowieka, jak to robi, że czyta tyle książek, i on odparł, że jego hakiem jest to, że kupuje książkę papierową i audiobook, czyta książkę wzrokowo, ale audiobook puszcza sobie razy dwa albo dwa i pół w słuchawkach, więc używa dwóch zmysłów jednocześnie. Spowalnia nas to, że czytamy w głowie, literujemy. Gdy ktoś czyta mu książkę, on może ją bardzo szybko przeczytać, a przy okazji pochłania ją dwoma zmysłami.

Ja też nie czytam wolno, bo pierwszą rzeczą, jaką kupiłem za własne pieniądze, był kurs szybkiego czytania. To było w czwartej klasie szkoły podstawowej. Nabyłem kurs mnemotechnik i szybkiego czytania, zresztą chyba z tej samej szkoły, w której zaczynał i prowadził swoje szkolenia Bartek Popiel. My z Bartkiem jesteśmy równolatkami, ale ja uczyłem się od innego nauczyciela, bo nie pochodzimy z tego samego miejsca, ale zdaje się, że to była ta sama szkoła. Od tamtego czasu to nieustannie procentuje. Nigdy jednak nie przyspieszam audiobooków. W podcastach to co innego, bo tam są przerwy, czasem trzeba wyciąć ciszę itp., ale słuchanie audiobooków jest dla mnie spędzaniem czasu z tym człowiekiem. Gdy jadę gdzieś samochodem, czekam na lotnisku, co jakiś czas wyciągam słuchawkę z ucha z nadzieją, że może jednak samolot ma opóźnienie.

Często słyszę od ludzi, że nie słuchają audiobooków, bo ucieka im uwaga. Czy masz jakiś hak na to, by być skupionym i nie odlatywać gdzieś myślami?

Myślę, że mam to totalnie nieświadome, ale wyćwiczone zawodowo. Żeby być dobrym trenerem, trzeba mieć trochę rozdwojenie jaźni. Z jednej strony muszę pracować i prowadzić wykład, mówić z sensem, ale w tym samym czasie muszę też czytać grupę. Nadajesz i odbierasz jednocześnie. Musisz widzieć, w którym momencie dwóm spośród ośmiu kursantów rozbiegł się wzrok i zgubili wątek, który jest tak ważny, że dalej sobie nie poradzą. Musisz widzieć, kiedy przyspieszyć, gdyż większość grupy w tym momencie pokazuje Ci swoim własnym rozproszeniem, że to jest dla nich jasne i nie ma sensu nad tym tematem spędzać więcej czasu. Musisz mieć jednocześnie wpływ i wypływ informacji. Najlepsi instrumentalisci, szczególnie ci grający na instrumentach dętych, potrafią jednocześnie wypuszczać powietrze, wydobywając dźwięk, i wciągać je dalej. Tacy zawodowi trenerzy też to potrafią – jednocześnie czytasz i dajesz tę wartość. Myślę, że z tego wynika to moje rozdwojenie jaźni i to, że jestem w stanie robić dwie rzeczy jednocześnie. Ja np. nie znoszę prowadzić samochodu. Mój limit to 50 km. Potem zaczynam się tak nudzić, że obdzwaniam ludzi. Nie wyobrażam sobie jazdy w ciszy, a nawet przy muzyce. Mogę ją sobie włączyć na początku, ale później musi już zacząć się coś dziać. I albo jest do tego przygotowana książka, albo zestaw podcastów, albo playlista połączeń, które należy obdzwonić, np. babcia, ciocia, teściowa.

Z czego korzystasz, słuchając książek? Ja w samochodzie korzystam z Audible.

Ja również.

Teraz w samochodzie korzystam z aplikacji CarPlay. Jak podłączę telefon, to pojawia mi się w tej aplikacji taki plusik, który ułatwia robienie notatek w czasie słuchania książki. Jeśli nie masz CarPlaya, to Audible ma tryb samochodowy, gdzie pojawia się taki duży przycisk zakładki. A propos Audible, to mam taki fajny sposób na to, jak poszerzyć sobie zakres słuchanych książek. Mamy z żoną wykupione Audible na dwa kredyty miesięcznie. Zasada jest taka, że jedną książkę kupuję ja, drugą ona. Najpierw ja słucham moich książek na swoim koncie, potem się zamieniamy. Dzięki temu słucham często książek o emocjach zwierząt.

Moja siostra czytała ostatnio sequel „Sekretnego życia drzew” – „Duchowe życie zwierząt”.

Obserwując Cię, zauważyłem, że jesteś dość mocno widoczny w social mediach.

Jestem ekshibicjonistą społecznościowym, bo nie mam raczej takich rzeczy, które zachowuję dla siebie. Mój dom rodzinny to oaza spokoju. To była taka wyspa, gdzie nikt nie miał wstępu. Prawie nigdy nie było gości, ludzi z zewnątrz, moje partnerki czy partnerzy mojej siostry rzadko się tam pojawiali, bo wiadomo było, że dom to oaza spokoju, zamknięta przestrzeń, bańka, w której nie ma nikogo z zewnątrz. Natomiast ja nie mam tajemnic, wszyscy wiedzą, gdzie mieszkam, co robię, kiedy wracam, kiedy wyjeżdżam. Czuję się bezpiecznie. Wszystko, co mam, jest zabezpieczone. Moja Ania jest nauczona sztuki samoobrony, ma ze sobą gaz pieprzowy i Diabła, więc jako pani Diabła nie ma się czego bać. Diabeł, jak sam wiesz, wygląda jak młody doberman, więc ludzie mogą się go obawiać. W rzeczywistości to nie doberman, tylko pinczer niemiecki, najcudowniejszy pies na świecie.

Wiem, że masz wysoko ukierunkowanie. To ułatwia czytanie, bo jest cel. Rozmawiałem o tym ostatnio z Mariuszem Kapustą, który ma taką umiejętność skupiania się na jednej rzeczy naraz. Wiem, że medytujesz – to jest coś, co pozwala wyrobić w sobie umiejętność skupiania się i wybierania tego, gdzie ma podążać uwaga, więc może bardzo pomagać.

Ale jest to bardzo trudne dla aktywatora. Medytuję od półtora roku. Gdy zaczynam medytować i pojawia mi się jakaś myśl, to jestem w stanie zdać sobie z niej sprawę i odpuścić, by spokojnie wrócić do medytacji. Medytacja dla aktywatora jest trudna, bo gdy tylko mam jakąś myśl, to zaraz za nią pojawia się cała rzeka tego, co trzeba w związku z nią zrobić, np. kiedy stworzyć nowy projekt, gdzie z kimś porozmawiać, kto to może zrobić, jak może w tym pomóc, w jaki sposób ja to mogę zrobić i gdzie zrobię to lepiej.

Mam aktywatora na siódmym lub ósmym miejscu i pomagają mi bardzo *guided meditations*, w których ktoś prowadzi mnie za rękę. Nieustannie polecam 10% Happier. Przy medytacji nauczyłem się tego, że jeżeli mam jasną wizję i cel, dlaczego to robię, to jest mi łatwiej w tym wytrwać. Celem tej praktyki jest to, abym był spokojniejszy, miał umiejętność wybierania tego, co chcę robić, gdy coś się stanie. Dzięki temu mam zaufanie, wiem, że gdy przyjdzie jakiś pomysł, to on jeszcze wróci. To pomaga mi wytrwać w medytacji.

Nie miałem okazji skorzystać z 10% Happier, natomiast medytowałem z Headspace, z którego w pewnym momencie zrezygnowałem. Mam na blogu taki odcinek, w którym opowiadam o tym, dlaczego przestałem medytować z Headspace – rozpraszał mnie mocno jedną rzeczą, ale oprócz tego jest to genialna medytacja i prowadzi ją jedna osoba, do której głosu jesteś przyzwyczajony. Jest to stabilne, zdyscyplinowane, konsekwentne. Natomiast ja mam na szóstym miejscu *competition*, czyli

współzawodnictwo. Jestem Moniką z „Przyjaciół”, więc uwielbiam współzawodniczyć i muszę być najlepszy. Dla mnie jest tak jak mówi Grant Cardone: „Jeżeli nie jesteś pierwszy, jesteś ostatni”. Jeżeli od 10 osób dostanę 9/9 – bo taka jest skala Microsoftu, czyli od zera do dziewięciu – to super, ale jeśli od jednej osoby dostanę 8,97, to to jest porażka. To jest dla mnie trudne. Headspace powodował u mnie, że stresowałem się tym, że cyferka mi się zła wyświetliła, a przecież nie o to chodzi w medytacji.

À propos ocen, bo to łączy się trochę z indywidualizacją – gdy rozmawiałem z moim klientem, który też pracuje z grupami, powiedział: „Jak to jest, że cała grupa zadowolona, a jedna osoba wychodzi niezadowolona? Dla mnie to zła sytuacja”. Chodzi o to, że bardziej zwracamy uwagę na drzewo niż na las. Jeśli w dodatku to jest połączone z *competition*, że każde kolejne szkolenie może być wyżej ocenione, to może być to trochę obciążające.

Tak i Headspace był dla mnie obciążający, więc go przerwałem. Kilka tygodni temu jednak wróciłem do niego, ponieważ czuję się bardziej dojrzały. Staram się nie patrzeć na to, że ominąłem jakąś medytację. W międzyczasie poznałem medytację Insight Timer zawierającą również *guided meditations*. W przeciwieństwie do 10% Happier, Calm, Headspace ona jest bezpłatna. Do tego masz dużo medytacji w języku angielskim, ale też w innych językach, w tym po polsku. Jest ich kilkanaście, ale i tak jest to bardzo fajne. Insight ma płatną wersję, ale ona sprowadza się do tego, że jest funkcja związana z lepszą wersją dźwięku, który gra w tle, i możesz pobierać sobie medytacje do offline. Ma to sens, gdy medytujesz w samolocie. Gdy chcę odpocząć po szkoleniu, gdy łapię samolot z Frankfurtu do Warszawy, to jest to odpowiedni moment na medytację. Do tego szum samolotowy pozwala na odcięcie się od tego, co na zewnątrz.

W 36. odcinku podcastu rozmawiałem z Przemkiem Wardejnem o tym, jak zacząć medytować. Podawaliśmy tam różne przykłady medytacji. Powiem szczerze, że nie trzeba kupować aplikacji, bo na YouTube jest wiele różnych *guided meditations* w różnych językach, i – co ciekawe – na Spotify też można je znaleźć i ma on wbudowane ściąganie offline.

To wiąże się bardzo z *communication*, ze storytellingiem i z takim złotym rozmawianiem. Wychodzi z tego opowiadanie o Twoich talentach. *Communication* masz na miejscu siódmym. Przed rozmową zapytałem Cię o coś, a Ty odparłeś: „Wersja krótka czy ze storytellingiem?”. Czy *storytelling* jest dla Ciebie naturalnym sposobem funkcjonowania?

Tak, u mnie to jest wrodzone. Rodzice pożyczali z gminnego ośrodka kultury taką kamerę, którą trzymało się na ramieniu, i za każdym razem, gdy ją widziałem, to stawałem przed nią i mówiłem: „Dzień dobry! Proszę państwa, nie wiem, kto mnie teraz ogląda, natomiast w tej chwili będziemy zajmować się tym i tym”. Więc zawsze to miałem. Myślę, że to wynika z tego, z jakiego domu pochodzę. Ponieważ mój tato, będąc dyrygentem, czy moi rodzice, prowadząc chór, który ma już 31 lat, czasem zabierali mnie na swoje próby. Ilekroć jest jakiś zjazd chóralny i pojawiają się ludzie z pierwszego składu tego zespołu, to mówią: „Pamiętam, gdy byłeś taki mały, brałeś sobie taboret, stawałeś za tatą i dyrygowałeś tak jak on”. Myślę, że pozwoliło mi to obyc się z ludźmi. To jest też *command*, bo widziałem, że mój tato macha rękami, a ludzie robią to, co on im każe, więc próbowałem to powtarzać.

Wychowywałem się zawsze z ludźmi starszymi – mając kilka, kilkanaście lat otoczony byłem studentami, bo to był przez wiele lat chór studencki. Zresztą o tym, jak on się rozwijał – czyli od tego, że moi rodzice pracowali za darmo z kolegami, mieli pasję, do tego, że zbudowali zawodowy zespół filharmoniczny – można posłuchać w podcaście „Między Nami Siadlakami”, gdzie robię wywiad z moimi rodzicami i oni o tym opowiadają. Widać tam totalne bieguny moich rodziców – gdy ja rzucam pytanie, moja mama od razu odpowiada i pływa po różnych tematach, ale żeby tata odpowiedział, to trzeba

powiedzieć wyraźnie, że teraz jest pytanie do taty, i dodać, że pytanie jest następujące. Nie daj Boże zamknięte, bo odpowie „Tak” i koniec – nie wyciągniesz z niego nic więcej. Jak zapytasz, jak to się robi, to zaczniesz ci opowiadać o paradygmatach, imperatywach, stosując słownictwo wysokie, za które ja zostałem wyrzucony ze szkoły.

Któregoś razu moi rodzice zostali wezwani do pani dyrektor – i potem już nie chodziłem do tej szkoły. To była piąta klasa szkoły podstawowej i mieliśmy wzajemnie siebie oceniać. Miałem w klasie kolegę, który był mocno przy kości i z higieną na bakier, do tego stopnia, że potrafił podbiec do Ciebie, chuchnąć Ci w twarz i powiedzieć: „Fajną mam broń biologiczną, nie?”. Więc gdy trzeba było ocenić tego gościa, to ja nie chciałem powiedzieć, że jest gruby i śmierdzi, bo wiedziałem, że nie należy. Starając się zawoalować to w jakiś sposób, zbudowałem takie zdanie: „Arek przy tej swojej takiej jowialnej posturze winien być wobec nas bardziej rubaszny w obyciu”. Kiedy w wiejskiej szkole użyłem słów „jowialny”, „rubaszny”, „winien być”, to wychowawczyni zabrała mnie do pani dyrektor i kazała powtórzyć to, co powiedziałem. Byłem przekonany, że użyłem jakiegoś wulgaryzmu. Moi rodzice zostali wezwani do szkoły. Ja przerażony tym, że klnę, powtórzyłem, że „Arek przy tej swojej takiej jowialnej posturze winien być wobec nas bardziej rubaszny w obyciu”. Moi rodzice spostrzegli, że nauczyciele nie zrozumieli, o co chodzi w tym zdaniu. Postanowili, że mnie przeniosą do innej szkoły. Chodziłem do dziennej szkoły muzycznej. Już nie miałem szkoły muzycznej popołudniami, tylko to była szkoła, w której miałem na przemian matematykę, kształcenie słuchu, język polski, harmonię itd.

Właśnie usłyszeliśmy *communication* w działaniu. Jeśli dobrze rozumiałem, Twoja mama też jest związana z muzyką.

Tak. Moja mama jest osobą, która ma za dużo talentów. Oprócz tego, że jest rzeźbiarką, malarką z wykształcenia, to mój tato zaraził ją pasją do śpiewania. Wcześniej jako nastolatka wygrywała konkursy piosenki radzieckiej. Jest solistką w chórze. I jest w stanie naprawić kosiarkę. To szerokie spektrum, a przez to nie jest w stanie skupić się na jednym.

Po niej masz aktywatora.

Zdecydowanie. Natomiast nie mam po mamie takich umiejętności jak to, że umiem narysować Wikinga i folder windowsowy, ale nic poza tym.

Visual noting, sketchnoting.

Jak widzę ludzi, którzy potrafią robić takie notatki, to im zazdroszczę.

Robię ćwiczenia, żeby się tego nauczyć. Pewne rzeczy można wyćwiczyć, to kwestia uwagi i skupienia. Oczywiście do pewnego momentu, bo jeśli nie masz do tego predyspozycji, to nauczysz się tylko do pewnego poziomu warsztatu.

Jesteś przykładem osoby, która jako dzieciak miała dostęp do kultury, książek, koncertów. Moi rodzice pochodzą z prostych domów, są pracowici i włożyli bardzo dużo wysiłku w to, abyśmy ja i mój brat mieli wszystko, czego potrzebujemy w życiu, natomiast nigdy jako dziecko nie miałem dostępu do takich rzeczy jak Ty. Pamiętam, że czytałem jakieś książki, słuchałem muzyki, ale większość edukacji kulturalnej odbyłem jednak jako dorosły już człowiek, po trzydziestce. Zastanawia mnie, jaki to może mieć wpływ na człowieka, że jako dziecko ma do tego dostęp – co to zmienia w Tobie, jak to można nadrobić, jak z tym pracować?

Myślę, że największą wartością jest wrażliwość. Wrażliwość na piękno i wrażliwość empatyczna. Przykładem jest Diabeł, którego totalnie nie kalkulowało nam się brać pod swoje skrzydła. To jest pies

z odzysku, który powinien zostać uśpiony ze względu na konflikt genetyczny, który nie pozwalał mu oddychać, blokował mu serce, a jednak zapłaciliśmy kupę kasy za jego operację. Przez pierwsze pół roku musiał być karmiony na stojąco. Musieliśmy mieć mu karmę. Zepsuliśmy przy tym niejedną blender. Jedno trzymało go na stojąco, a drugie karmiło, żeby się nie udusił. To były duże wyrzeczenia, ale to jest empatia. Wróciliśmy teraz z Anią z Czech i zatrzymaliśmy się na jakiejś polnej drodze, bo przez drogę przechodził wróbelek ze złamanym skrzydłem. Zatrzymaliśmy się, daliśmy mu wodę i odłożyliśmy w jakieś krzaki daleko od drogi, żeby miał szansę przeżyć. To wynik tego, że niejednokrotnie siedzieliśmy w fotelu filharmonicznym czy w kościelnej ławie i słuchało muzyki sakralnej, można było zamknąć oczy i otworzyć się w środku na taką sztukę.

Powiem, jak to jest z mojej perspektywy jako człowieka, który zaczął odkrywać sztukę, kulturę w wieku dojrzałym. Przed nagraniem mówiliśmy o takim angielskim słowie *vulnerability*, które oznacza, że otwierasz się na jakieś możliwości, a jednocześnie na to, że ktoś to wykorzysta i w jakiś sposób Cię skrzywdzi. Z jednej strony jest to więc korzystne, ale z drugiej ryzykowne. Wydaje mi się, że jeśli nie doświadczyłeś tego jako dziecko, to można mieć taką otwartość, że OK, to ja otwieram się na to, że będę pytał, dążył do tego, otoczę się tym za cenę bycia osądzonym jako śmieszny, nieobity, bez ogłady. To pozwala jednak krok po kroku czerpać z tego. Ja np. jestem bardzo wdzięczny mojej żonie, która skończyła kulturoznawstwo i czasem rozmawiamy o sztuce, o obrazach i ona mi tłumaczy, że to jest taki a taki nurt, to wynika z tego i z tego, to jest tak narysowane i dlatego to było trudne, dlatego było odkrywcze. Pokazuje mi muzykę. Mógłbym powiedzieć, że mnie to nie interesuje, że to nie jest nic wartościowego, ale jestem tym uczniem, tym człowiekiem, który ma 38 lat i czegoś nie wie, czegoś cały czas się uczy. A z drugiej strony wiem, że jeżeli tej postawy nie przyjmę, tylko otworzę się na to coś, to zyskuję ogromnie dużo. Jest taka otwartość na nowość, na wrażliwość, ale też na to, że ktoś może się z tego pośmiać – jednak cena tego jest niewspółmiernie mała do tego, co zyskujemy.

Przychodzą mi do głowy dwie rzeczy. Pierwsza jest taka, że istnieje fantastyczna aplikacja DailyArt, która jest bezpłatna, ale można ją też wesprzeć kwotą 30 zł za dostęp. Serwuje ci codziennie jeden obraz wraz z jego opisem (czasem jest to jakaś rzeźba czy np. korona Ottona III) i masz cały jego opis – historię, nurt itd. Niekiedy zobaczy się „Monę Lisę”, innym razem obraz, o którym nigdy nie słyszałeś, a który może Ci się spodobać. Dzięki temu możesz zacząć eksplorować twórczość jakiegoś nowego artysty, o którym wcześniej nie wiedziałeś. Ta płatna wersja jest dla mnie tylko i wyłącznie wyrazem wdzięczności za to, że ta aplikacja istnieje, i wsparciem artystów, bo pochodząc z takiego domu, z jakiego pochodzę, wiem, że artyści zawsze potrzebują wsparcia, szczególnie w naszej kulturze. Kultura wysoka nie jest tak dotowana, jak być powinna – jeśli porównamy Niemcy czy Wielką Brytanię z Polską, to to jest niebo i ziemia, jeśli chodzi o kulturę i jej dotowanie. W zwykłym DailyArt możesz zobaczyć tylko to, co jest dzisiaj na wystawie, a w tym płatnym możesz sobie cofać swoją historię, jak tylko chcesz.

Drugą rzeczą są „Motety europejskie” – płyta, którą w 2004 r. nagraliśmy z chórem mojego taty. Ja również na niej śpiewam, gdyż przez osiem lat śpiewałem w tym chórze. To jest muzyka, przy której się wychowywałem. Muzyka piękna, a capella.

Wrzucę do notatek zdjęcie okładki, jest to Chór Akademicki Politechniki Częstochowskiej, dyrygent Janusz Siadlak.

Wróćmy do talentu *command*. W jaki sposób jest on u Ciebie widoczny?

To jest *clou* mojej pracy zawodowej. Jako że muszę czuć się poważany przez innych, wybrałem sobie zawód, w którym mogę komuś rozkazać, że on ma zrobić dla mnie takie laboratorium, jakie ja sobie wymyśliłem, nawet jeżeli ono jest bez sensu.

A do tego pracujesz z armią amerykańską.

Nie mogę mówić, gdzie dokładnie pracuję, w sensie lokalizacji, nad czym pracuję w danym momencie, ale to, że tam pracuję – jak najbardziej.

Wyglądasz na 24–25 lat, a masz 32, co jest dla mnie totalnym zaskoczeniem. Pierwszy raz zobaczyłem Cię rok temu na Podcasterze 2017. Wyszedł jakiś młodzieniec, gówniarz, ale potem bardzo szybko zyskałeś szacunek, bo mówiłeś z sensem, w fajny sposób. Gdy ktoś Cię widzi na sali szkoleniowej armii itp., to może pomyśleć: „Czego ten dzieciak może mnie nauczyć?”. Powiedziałeś, że *command* może tu pomóc.

Tak. Przede wszystkim startujemy z takiej pozycji, że gdy masz swoich klientów, szczególnie takich, którzy nie wybrali Ciebie jako trenera, tylko zostali wysłani na szkolenie – czy to są menedżerowie wyższego szczebla, czy oficerowie – to ktoś zdecydował, że ten człowiek ma tu być. Praca z armią jest troszeczkę inna z tego względu, że oni mają wiarę w *chain of command*, w swoich przełożonych, w hierarchię swoich stopni i jeżeli ktoś tak zdecydował, to znaczy, że to jest dobre. Nie wiem, jak wygląda praca w polskim wojsku, natomiast ci oficerowie, z którymi pracuję, to taki prawdziwy *leadership*. To jest coś niesamowitego. Oni potrafią rozbudzić w Tobie taki ogień. Widzisz gościa, który jest w mundurze, czerstwy, szorstki i zaczyna zasiewać takie ziarno: „To Wy, dzięki Wam... Wywiad, który robimy, jest tylko i wyłącznie dzięki Waszej pracy”. Gdy słyszysz to z zewnątrz, to myślisz, że to takie pranie mózgu, ale oni potrafią przepięknie to przeprowadzić, są naprawdę skutecznie wyszkoleni jako liderzy. To nie jest tak, że ktoś jest liderem tylko dlatego, że zrobił odpowiednią liczbę pompek i jest w tym wojsku odpowiednią ilość czasu, tylko naprawdę ma skuteczne umiejętności komunikacyjne. To jest mistrzostwo świata. Uwielbiam pracować z ludźmi, którzy mają swoje konkretne zadania i ludzie wyższego szczebla przychodzą im opowiadać o tym, jakie znaczenie w organizacji ma ich praca. To jest naprawdę piękna rzecz. Kiedyś nagrałem sobie jedno z takich wystąpień, oczywiście tylko i wyłącznie dla mnie i ze złożeniem obietnicy, że to jest tylko na mój użytek, jest to zaszyfrowane. To jest niesamowite. To jest jak generał Patton w otwierającej mowie w filmie *Patton*.

Jak budujesz na sali taki *authority*? Musisz go w pewnym sensie zbudować sam, bo oni muszą w Ciebie uwierzyć, żeby szkolenie było skuteczne. Musisz być dla nich autorytetem, przynajmniej na poziomie merytorycznym. Wyobrażam sobie, że taki dojrzały *command*, który działa trochę z tyłu, na zasadzie takiego przejmowania emocjonalnego przywództwa, może tu bardzo pomóc. To nie jest *command*, który krzyczy i wydaje rozkazy, tylko taki, który używa pewnych technik, ale też postawy ciała i pewności siebie, którą masz na miejscu dziewiątym.

Mam wrażenie, że moje talenty od czwartego do dziewiątego miejsca mogłyby być *ex aequo*. Z mojej perspektywy one są bardzo blisko siebie, zresztą pisałem o tym na Diskordzie Twoich patronów, że żałuję, że nie ma takiej punktacji analitycznej, ile to jest dokładnie.

Dlaczego sam nie możesz uznać, że to jest *ex aequo*?

Ponieważ to jest napisane na papierze. To jest jeden z tych elementów, który mocno pomaga mi w budowaniu wizerunku. W szkoleniach technicznych bardzo łatwo udowodnić swoją wiedzę właśnie przez posiadanie różnych certyfikatów. To jest tak, jak niektórzy traktują wyższe wykształcenie – jak je

masz, to jesteś ekspertem w danej dziedzinie. Miałem kiedyś taką rozmowę z moją przyjaciółką, która prowadzi bloga „Kreatywne podróże”. Dużo podróżuje po świecie, jest takim typem jak Michał Śliwiński, czyli *no office* – pracuje z różnych miejsc, wspierając swoich klientów. Mówi, że jest socjologiem. Ja na to: „Dziewczyno, Ty nie jesteś socjologiem, tylko skończyłaś studia socjologiczne, to jest totalnie inna bajka”. I znowu pojawia się to Twoje pytanie: „Kim jesteś i co robisz?”. Ja się nie zgadzam z tym, że ktoś może powiedzieć: „Jestem...”. Człowiek staje się kimś. Natomiast jeżeli skończy się studia politologiczne i chodziło się na zajęcia odpowiednią ilość czasu, o której zdecydował jakiś minister, pół roku przepiło w pubach, a potem spięło tyłek, by zaliczyć sesję, to nie jest się jeszcze politologiem. Ja jestem lifehackerem – nikt nigdy nie dał mi na to żadnego papierka, certyfikatu, ale posiadam wszystkie możliwe certyfikaty Microsoftu, we wszystkich technologiach, których nauczam. To mi pomaga. Do pracy z armią bardzo pomocna jest wcześniejsza praca na rynku komercyjnym, bo jeżeli zaczynam listować swoich klientów, czyli najbardziej rozpoznawalne marki na świecie, to od razu mówię: „On z nimi pracuje, więc jest wart uwagi”. Z drugiej strony, gdy pracuje się z klientami komercyjnymi i mówi, że pracuje się z armią amerykańską, to w tym momencie ktoś może powiedzieć: „Wow, on jest godny uwagi”. To jest taka samospelniająca się przepowiednia, bo jedno drugiemu bardzo pomaga.

Na trzeciej pozycji jest to *vulnerability*, o którym rozmawialiśmy wcześniej. Dla mnie zaraz po przedstawieniu się typu „Dzień dobry, jestem Ludwik Siadlak, zajmuję się tym i tym” jest moment na to, by powiedzieć, na czym się nie znamy. Jeżeli nie znamy się na czymś, a mamy gościa, który jest w tym konkretnym zakresie ekspertem, to on już nie będzie próbował złapać nas na niekompetencji i pokazać: „Ej, ale przecież Ty nie wiesz tego i tego, a ja to wiem, bo robię to codziennie od 13 lat”.

Szalenie drażni mnie, gdy słyszę od moich kursantów, że ktoś inny prowadził z nimi szkolenie i powiedział, że coś tam wykracza poza jego zakres i proszę zapisać się na inne szkolenie, żeby o tym porozmawiać. Wolę poświęcić obiad, przerwę na to, by z tym konkretnym człowiekiem usiąść, popracować i dać mu wartość, by on wrócił do pracy, był szczęśliwy i był w stanie z pełną odpowiedzialnością powiedzieć i napisać w ankiecie, że to było najlepsze szkolenie, na jakim był. Niejednokrotnie widzę dokładnie te słowa w swoich ankietach: „Najlepszy trener, z jakim kiedykolwiek pracowałem”, „Chodzę na szkolenia od 30 lat, nigdy w życiu nie byłem na tak dobrym szkoleniu”. Wtedy czuję, że dobrze wykonałem swoją robotę. Nie czuję, że jestem najlepszy czy że nikt mnie nie pokona, ja tylko zrobiłem coś dobrze.

W tym, co powiedziałaś, było dużo indywidualizacji – że jest potrzeba jakiejś jednostki, jest poważanie, że dzięki Tobie ta osoba będzie umiała coś więcej, więcej osiągnie, będzie mogła być lepsza w tym, co robi. Jest tam nutka *competition* – duma z bycia najlepszym. I jest dobre połączenie z *significance*, czyli nie po to, abym był chwalony, tylko że dzięki mnie oni coś osiągną.

Dla mnie to satysfakcja ze zrobienia dobrze roboty. Mój tato nie lubi słowa „pasja”, mimo że to, co robi, jest jego pasją. On mówi, że to jest coś, co trzeba zrobić. Od początku czuł, że musi prowadzić chór, bo on tego tak bardzo chce, to musi być zrobione, bo jak on tego nie zrobi, to to nie będzie zrobione, a to musi istnieć na świecie. Uważał, że to jest rzecz do zrobienia. Nigdy nie twierdzi, że czymś się pasjonuje, bo to jest za duże słowo, on po prostu robi swoje. To jest tzw. *humble*.

Ja też dużo pracuję w języku angielskim.

Na przestrzeni dwóch ostatnich lat prowadziłem tylko dwa szkolenia w języku polskim. Książki czytałem praktycznie wyłącznie po angielsku. Materiały, na których się opieramy, są tylko po angielsku, szkolenia

także, więc czasem jest ciężko. To nie jest też tak, że są jakieś naleciałości językowe i mam nadzieję, że nie słyhać u mnie żadnego akcentu, to jest kwestia obcowania z językiem na co dzień.

To jest zupełnie inna historia niż szpanowanie tym językiem.

Powiedziałeś wcześniej, że jest słowo *overwhelmed*, które nie ma bardzo bliskiego przełożenia na język polski. W niektórych talentach też tak jest, że one są przetłumaczone, nazwane, aczkolwiek to polskie tłumaczenie nie jest idealne. Gdy mam przeczytać jakąś książkę techniczną, to nie odważyłbym się jej przeczytać w języku polskim. Mam kilka książek kupionych m.in. z sympatii do autorów. Paweł Potasiński, który jest jednym z największych speców od baz danych w Polsce, napisał książkę „SQL Server administration and development”. Niektóre treści tam zawarte są wręcz ciężkie do przetknięcia. Czasem są słowa, których znaczenie rozumiesz, wiesz dokładnie, co oznaczają, ale nie ma odpowiednika, który byłby w stanie dokładnie je oddać.

Sam przyznaję się do tego, że czasami jest dla mnie bardziej naturalne użyć słowa angielskiego, bo jego znaczenie jest doskonale znane, a nie mogę znaleźć odpowiednika w języku polskim, ale są też słowa, które mają zupełnie inne znaczenie po polsku, a jednak ich używam. Takim przykładem jest „kontrybuować”, gdzie „kontrybucja” jest czymś zupełnie innym niż „contribute”.

Naciąłem się na to kilkakrotnie, bo najpierw używałem słowa, które też było spolszczeniem słowa anglojęzycznego. Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że używam go zupełnie odwrotnie. To było słowo „utilizacja”, bo „utilize” oznacza „używać czegoś w większości przypadków”, więc mówiłem: „Dobra, utylizujemy to” i goście wywalili cały kawałek aplikacji do kosza. Pytałem się, dlaczego to zrobili. Oni stwierdzili, że kazałem to zutylizować, więc to wywalili.

Długo pracowałem w firmie konsultingowej, gdzie *utilization* był jednym z KPI, czyli wskaźników tego, jak skutecznie przypisują ludzi do projektów i jak skutecznie wykorzystują ich czas. Ale nie powiesz po polsku, że utylizujesz swoich ludzi – to brzmi strasznie.

Często śmieję się z polskiego Microsoftu, gdzie znajomi, przyjaciele tam pracujący używają słowa „*opportunity*” jako „oportunicja”. Nigdzie indziej nie słyszałem, żeby ktoś używał takiego słowa. Ale jako że w CRM-ie masz *opportunity*, to mamy tu oportunicję, która będzie działała dobrze na nasz target.

Mnie prowadzenie podcastu nauczyło zwracania na to uwagi. Weźmy np. CRM – dla mnie to jest naturalne, to jest część języka, ale osoby, które nie pracują z CRM, nie wiedzą, co to jest. CRM to *customer relationship management*, czyli zarządzanie relacjami z klientem. Tu mi się zawsze przypomina jedna z biografii Elona Muska, który zakazał stosowania nowych akronimów w Tesli czy SpaceX, ponieważ powodują, że nowe osoby dużo trudniej wdrożyć w zespół. Nam, ludziom, ciężko przyznać się do tego, że czegoś nie umiemy, więc udajemy, że rozumiemy, o co chodzi w tym akronimie, a tak naprawdę nie wiemy.

Microsoft też jest mistrzem świata w tworzeniu akronimów – są takie przypadki, że jeden akronim oznacza trzy różne technologie.

Dlatego tak bardzo doceniam rolę tłumaczy literatury pięknej, poezji. Tak naprawdę to jest tworzenie nowego utworu, nowego dzieła. Niełatwo przetłumaczyć coś, by to jednocześnie zachowywało treść, kontekst i jeszcze dobrze się czytało.

Niezmiernie ważne jest to, by człowiek, który zajmuje się tłumaczeniem, znał się na przedmiocie. Niektórym się wydaje, że skoro znają angielski, to mogą tłumaczyć. Moja kuzynka i jej partner są

tłumaczami i podchodzą do tego bardzo zawodowo. W momencie, gdy mieli jakiś projekt ministerialny, mieli przetłumaczyć kawałek ustawy Unii Europejskiej na język polski i były tam jakieś osie do traktorów, szukali w internecie i zgłosili się do mojego paszenoga (paszenog to w języku staropolskim mąż siostry żony), który im wytłumaczył dokładnie, co to jest, mimo że słowniki o tym nie mówią. To jest jakaś część w traktorze – Radek ma stację diagnostyczną, zajmuje się mechaniką samochodową, więc bardzo dobrze rozumie te wszystkie tematy. Zgłosili się do niego i byli w stanie opisowo potraktować ten termin, który pojawia się w ustawie. Natomiast niejednokrotnie widziałem takie tłumaczenia, że ktoś siada do książki technicznej, nie zna się na informatyce i zamiast „okno” wychodzi „szyba”.

Porozmawiajmy o Twoim dziesiątym talencie, który fajnie spina te rzeczy, mianowicie *learner*, czyli uczenie.

Learner pojawia się mocno w moim bardzo ciężkim *tsundoku*, o którym wspomniałem wcześniej, czyli kupowaniu książek. Chciałbym nauczyć się jak najwięcej, a zawsze mam takie poczucie, że mógłbym wiedzieć jeszcze więcej. Gdy wychodzę na szkolenie i mówię o tym, że nie znam się na tym i na tym, to jak fantastyczne byłoby to szkolenie, gdybym znał się na tych wszystkich rzeczach. Jednak gdy coś jest do wszystkiego, to jest do niczego, więc tak też nie można.

Mówię o learnerze, ponieważ mam go w top 5 i mocno widzę go u siebie na co dzień. Z jednej strony wpływa on na to, że lubię uczyć się nowych rzeczy, ale z drugiej najlepiej uczę się nowych rzeczy, ucząc innych. Mam ogromną potrzebę dzielenia się wiedzą z innymi. Nawet w książce Radka Koterskiego „Włam się do mózgu” została opisana jedna z technik.

W ten sposób opowiadał Feynman – że jeżeli chcesz się czegoś bardzo dobrze nauczyć, to najpierw się tego naucz, później sobie to opowiedz, następnie sprawdź, czego jeszcze nie dopowiedziałeś, opowiedz to komuś innemu i po trzech iteracjach możesz wiedzieć, że generalnie ogarniasz temat. Z kolei Einstein też wielokrotnie powtarzał, że jeżeli nie umiesz czegoś wytłumaczyć wystarczająco prosto, oznacza to, że tego wystarczająco dobrze nie rozumiesz. Ja bardzo często słyszę po swoich szkoleniach: „Ty jesteś w stanie skomplikowane rzeczy wytłumaczyć tak, że one są bardzo proste”. Ale o tym mówią tylko i wyłącznie ci ludzie, którzy wcześniej mają dostęp do takiej wiedzy, czyli oni już w jakiś sposób tej wiedzy dotknęli. Rozumieją, że to jest bardzo trudne i w pierwszych podejściach nie byli w stanie tego zrozumieć. Wtedy przychodzę ja i wykładam to w taki sposób. Ludzie, którzy pierwszy raz stykają się z jakąś wiedzą, mówią, że to jest wszystko superproste. Wracają przed swoje biurka, zaczynają pracę i mówią: „Kurczę, dlaczego inni tego nie rozumieją, przecież to jest takie proste”, i wyjaśniają to podobnymi słowami, jakimi ja im to wyjaśniłem. Dzięki temu cała organizacja się rozwija.

Dla mnie największym paliwem w szkoleniach i w uczeniu innych jest to, kiedy jestem w stanie coś przekazać w taki sposób, że ktoś inny chce z tego korzystać, umie z tego korzystać i jeszcze później zaraża innych. To jest niesamowicie motywujące w tym zawodzie, w tego typu działaniu.

Myślę, że taką misję społeczną w pewien sposób prowadzi serial „Black Mirror”. Oglądasz go i widzisz, co tam się dzieje, gdy np. masz niezastłoniętą kamerę w laptopie, co może się wydarzyć, jeżeli ktoś przechwyci Twój obraz. To jest pewna misja, zarażasz tym innych.

Dwa talenty utrudniają mi oglądanie „Black Mirror”, ale też innych filmów. Jednym z nich jest empatia, która powoduje, że przeżywam to i nadmiernie się chowam. Są takie momenty, gdy chowam się za Kasią, która może oglądać horrory itp. – ja nie mogę, gdyż fizycznie odczuwam emocje, które są na ekranie. Mimo że to jest scenariusz, to są aktorzy.

Moja Ania ma empatię na pierwszym miejscu i ona ma dokładnie to samo. Żeby oglądać „Black Mirror”, muszę siedzieć z jej prawej strony i ona musi być wtulona w moje lewe ramię, bo inaczej nie ma opcji.

Drugi talent, który mi w tym przeszkadza to *intellection*. Gdy oglądam takie rzeczy, co może się stać, jaka jest wizja przyszłości świata, to przeżywam to jeszcze długo po obejrzeniu filmu. Tak mam za każdym razem, gdy coś oglądam. Nawet gdy idę na jakąś głupią komedię do kina, to potem przez dwa, trzy dni zastanawiam się, skąd wzięty jakiś wątek, jak do tego doszło, a co by było, gdyby coś się stało. „Black Mirror” zasila moją wyobraźnię takimi niefajnymi obrazami na temat przyszłości. To jest na tyle trudne, że gdy ktoś opowiada mi o jakimś odcinku „Black Mirror”, którego nie oglądałem, a w którym było powiedziane o urządzeniu odczytującym pamięć z jakiegoś obszaru mózgu, to wyobraż sobie, że ja zaczynam się tym przejmować. Potem budzę się i wyobrażam sobie, co nas czeka za 10 lat. Dlatego medytacja, uważność, stoicyzm bardzo mi pomagają, bo potrafię szybko się przełączyć. Zastanawiam się, co daje mi to myślenie, co jest w obszarze mojego wpływu, a co nie. 10 lat do przodu absolutnie nie jest w obszarze mojego wpływu. Jest w nim to, co robię teraz.

Ale to, o czym mówisz, jest najpiękniejszym obrazem i ilustracją tego, czym jest strach. Najlepsze wyjaśnienie naszych obaw. Obawa o przyszłość to jest to, o czym Eckhart Tolle pisał w swojej książce „The Power of Now” – że umysł ludzki nie jest w stanie ogarnąć konceptu terażniejszości. Albo myślisz o czymś, co będzie w przyszłości, i tym się możesz martwić, albo martwisz się tym, co już było i jakie będą tego przyszłe konsekwencje. Natomiast nie jesteś w stanie ogarnąć konceptu *teraz*, bo albo zaplanujesz sobie, że to powiesz, albo już to powiedziałeś. Teraźniejszość *de facto* nie istnieje. Widziałem taki akronim, który wyjaśnia, że *fear* to nic innego jak skrót od *false events appearing real*, czyli nieprawdziwe wydarzenia, a wyglądające na prawdziwe. Na tym polega strach, bo boimy się tylko rzeczy, które mogą się ewentualnie wydarzyć. Jeżeli jesteś przykuty do krzesła kajdankami przez jakiegoś psychopatę, który zaraz zacznie Ci wrywać paznokcie, to on dopiero za chwilę zacznie Ci je wrywać – na razie nie ma się czym przejmować.

Powiedziałeś, że masz 32 lata i już prawie 13 lat doświadczenia na sali szkoleniowej. Matematyka nie kłamie – zacząłeś szkolić w wieku 19 lat. Bardzo często dostaję maile od młodych osób, które zrobiły sobie test StrengthsFinder i pytają mnie, co mogą robić w życiu z tymi talentami. To jest dla mnie trudne pytanie, gdyż talenty mówią o tym, jak będziesz coś robił, a nie co będziesz robił. Powiedzieliśmy o tym, że ktoś studiował socjologię, więc jest socjologiem, ja studiowałem *computer science* – informatykę i przez jakiś czas programowałem, ale od czasu skończenia studiów i bycia programistą robiłem kilka różnych rzeczy. Te zawody można bardzo różnie nazwać. Jak to się stało, że zacząłeś to robić, że szedłeś w tym kierunku, i skąd wiedziałeś, że chcesz to robić, rozwijać się w tym? Skąd ta pewność obranego celu, wizji?

Ostatnio w podcaście „Przekaz” Jerzy zapytał mnie o to, czym jest sukces. Dla mnie sukces to spokój w medytacji. Gdy zaczynasz medytować i jesteś w stanie stwierdzić, że wszystko jest naprawdę OK, to to jest właśnie sukces. To nie jest to, że wygrasz w totolotka, bo dla mnie wygrana w totolotka wiąże się z tym, że musisz ogarnąć sobie jakiś konwój, który pozwoli Ci przewieźć tę kasę z kolektury Lotto do banku i jednocześnie jeśli jest to informacja publiczna, to zaraz ktoś może porwać Twoją córkę, bo wiadomo, że masz kupę kasy itd. Trzeba jeszcze zapłacić od tego podatek dochodowy. To nie jest sukces. Dla mnie sukces to moment, kiedy mogę się wychillować w mojej małej bibliotece. To jest ostoja sukcesu. To, że zaspokajam wszystkie moje potrzeby i karmię swoje talenty tym, że czuję się ważny, że mogę *command*, czyli rozkazywać, że w tym momencie prowadzimy szkolenie dokładnie według mojego grafiku, według mojego widzimisię, bo większość szkoleń prowadzę bez prezentacji. Tworzę prezentacje live – otwieram sobie OneNote’a i piszę dokładnie to, co w tym momencie

będziemy robić. Rozrysowuję wszystko. Jestem strasznie nieekonomiczny, bo zużywam ogromne ilości markerów i flipchartów, jeśli nie mam zmywalnej tablicy w trakcie szkolenia. Budowanie tej historii wraz z moimi klientami, którzy widzą, jak to się rozwija, jest o niebo skuteczniejsze, niż kiedy klikniesz następną slajd i nagle „Wow, jaki superintensywny wykres”.

Dla mnie ważne jest to, że niczego nie muszę. To jest największą wartością w mojej pracy. Miałem jeden taki epizod, kiedy pracowałem przez rok z klientem i moja praca miała w tym czasie znamiona etatu, czyli byłem zobligowany do tego, by być w biurze od godziny do godziny, miałem coś na kształt urlopu. To była miazga, to mnie totalnie zniszczyło, czułem się z tym fatalnie. Gdy odchodziłem od tamtego klienta, to dostałem maila, w którym zostałem zapytany, do kogo odchodzę. Odpisałem, że „Nie odchodzę do, tylko od”. Podobno odbiło się to strasznym echem w firmie, że to takie chamstwo i drobnomieszczaństwo, że jak ja mogłem tak napisać, że nikt mnie nie podkupił, tylko że „rozwiódłem” się z tym klientem z tego względu, że forma współpracy była totalnie nie moja. W tej współpracy nie czułem np. talentu *significance* czy *command* takiego, jak bym sobie życzył.

Jako że wyprowadzamy się z Anią z Polski na samym początku czwartego kwartału tego roku, to ona ma w tej chwili totalnie zajęty kalendarz do pierwszego weekendu września. To jej jedyne dni wolne, gdyż jest strasznie wzięta, bo rynek zobaczył, jak wiele potrafi, jak potężne ma umiejętności, jak solidnie pracuje w porównaniu z konkurencją, którą ma na rynku. Niejednokrotnie słyszy, że pracuje z takim niemieckim ordnungiem, że jest zawsze na czas, że to jest idealnie zrobione. Jest wizażystką, a raczej *makeup artist*, bo to nie jest tylko i wyłącznie wizaż.

Na jej profilu jest też kilka moich fajnych zdjęć, bo byłem przedmiotem jej prac dyplomowych, zaliczeniowych, gdy miała zrobić z mężczyzny kobietę. Musiałem zgolić zarost, żeby zostać kobietą – to też jest fajna historia. Kiedy miała to zaliczenie, to w Warszawie odbywała się Love Parade. Siedziba szkoły, którą Ania kończyła, jest na Mokotowskiej, czyli w ścisłym centrum, przy placu Trzech Krzyży. Wyszliśmy stamtąd szybko, by zdążyć przed paradą. Wsiadliśmy do samochodu, wyjeżdżamy. Miałem przyklejone rzęsy, pełny makijaż, tylko perukę zdjąłem. Zatrzymał nas policjant, który powiedział, że w Kruczą nie można już wjechać. Powiedzieliśmy, że chcemy tylko przejechać, a ja w tym momencie – wiedząc, że jestem w pełnym makijażu – popatrzyłem na policjanta i powiedziałem: „No panie władzo” i zatrzepotałem rzęsami. Pierwszy raz w życiu widziałem, że ktoś poczuł odrazę na mój widok. Widziałem ją również w policjancie, który nas zhaltował. Powiem Ci tak w kontekście empatii – nie mam ani pół grama jakichkolwiek naleciałości związanych czy to z wykształceniem, czy to z religią, wyznaniem bądź orientacją seksualną, predyspozycjami, preferencjami żywieniowymi – totalnie mi to zwisa i powiewa, dopóki mogę robić, co chcę. Natomiast ten moment, w którym zobaczyłem odrazę tego człowieka, był dla mnie tak mocnym doświadczeniem, że poczułem empatię do całego środowiskaGBT.

Tak więc Ania ma w tej chwili bardzo mocno wypełniony grafik. Tam, na miejscu, w Wiesbaden mamy dla niej pracę, dla mnie ważne jest tylko to, by mieć lotnisko w pobliżu. Mamy wolne poniedziałki. Ja mam więcej wolnego, bo z zasady nie pracuję więcej niż trzy tygodnie w miesiącu, natomiast Ania ma wolne tylko i wyłącznie poniedziałki, gdy miasto jest puste, nikt nic nie musi. To jest dla mnie bardzo ważne, że nikt mi nie może kazać pracować. Ja zawsze jestem proszony o to, by poprowadzić szkolenie. To też jest zaspokojeniem jakiejś mojej potrzeby, żeby być ważnym. Jestem proszony o to, by pracować, a nie ja proszę klienta, by mnie zatrudnił. Niesamowita wolność.

To jest bardzo spójne z tym, w co ja wierzę. Po pierwsze wspominałeś, że robisz coś, co jest zgodne z Twoimi talentami, z Twoim sposobem działania. Instytut Gallupa powtarza, aby sprawdzić, czy w swojej roli możesz korzystać ze swoich talentów. Jeżeli tak, to super, jeżeli nie, to może warto

zmienić rolę, bo będziesz skuteczniejszy, szczęśliwszy. Z drugiej strony gdzieś tam za tym stoi jakaś większa wartość, większy cel, wartość czasu spędzanego z rodziną. Wartość tego, że masz wolność wyboru, kiedy pracujesz, kiedy nie. Jeżeli to wszystko się razem zepnie i zrozumie, to nie jest tak trudno wybierać, w którym kierunku pracować. Ja np. chciałbym za trzy, cztery lata pracować nie więcej niż 20 godzin tygodniowo, aby mieć więcej czasu na rzeczy, które są dla mnie istotne. Mam mnóstwo pomysłów. Idę w taki sposób pracy, który będzie mi to umożliwiał, dlatego m.in. zrezygnowałem z etatu. Mam jasne przeświadczenie, dlaczego chcę to robić. To mnie bardzo motywuje i pozwala wybierać, co robię.

Jechałem niedawno taksówką i rozmawiałem z taksówkarzem. Powiedział, że jest przeszczęśliwy, bo on nic nie musi. On sobie jeździ taksówką, bo lubi, wtedy, kiedy lubi. Kredyt ma spłacony, dzieci odchowane. Buduje sobie jakąś piwniczkę, więc czasami jeździ, by na nią zarobić, ale jak nie zarobi, to nic się nie stanie. Wyglądał na szczęśliwego człowieka. Każdy osiąga to na swój sposób, swoją drogą – istotne jest, by wiedzieć, co dla nas jest ważne. Od tego warto zaczynać, bo to pozwala wybierać potem, w którym kierunku pracujemy. Na warsztatach mówię ludziom o produktywności i efektywności. Gdy dochodzimy do tego, jak język kształtuje nasze myśli, gdy mówimy, że czegoś nie możemy, coś powinniśmy, to sami dajemy sobie mocny przekaz. Ludzie zaczynają dawać mi takie wyzwania, że „Ja tu chodzę do pracy, jestem na etacie i muszę tu chodzić, ponieważ inaczej nie będę miał pieniędzy”. OK, chodzisz tu, bo chcesz mieć pieniądze na taki, a nie inny styl życia.

Poza tym nie musisz chodzić do tej pracy, możesz chodzić do dowolnej innej.

Dla wielu osób to jest trudny koncept, ale jak zaczynają widzieć to połączenie, że to jest ich wybór, to nagle widzą więcej możliwości wyboru niż tylko tę jedną rzecz.

Moja Ania doświadczała tego wielokrotnie. Pracowała na etacie do momentu, kiedy nie stała się moją Anią i popchnięta jedynie przeze mnie nie rzuciła się na głęboką wodę przedsiębiorczości. Otworzyła własną firmę, która bardzo ładnie jej prosperuje do tego stopnia, że nie odczuwa szczególnie tego, że niedługo, po dwóch latach funkcjonowania, zacznie jej się duży ZUS. Jej firma rozwija się cały czas. Na samym początku też miała duże naleciałości związane z tym, że coś musi, np. muszę jechać tu i tu, bo bez tego czegoś nie zrobię. Pytałem: „Kochanie, czy musisz po to jechać, czy chcesz po to jechać, by było Ci łatwiej pracować, abyś lepiej wykonywała swoją pracę?”. „No bardzo chcę mieć ten pędzelek. O, faktycznie – ja nie muszę, ja chcę”.

Ostatnio czytałem o bardzo ciekawych badaniach na temat wpływu języka, którego używamy – polski, chiński, angielski, fiński. Okazuje się, że są języki, które nie mają czasu przyszłego, takiego jasno określonego. Wydaje mi się, że to był fiński i chiński. W tych badaniach powiązano język i obecność czasu przyszłego jako osobnego czasu ze skłonnością tych narodów do oszczędzania na emeryturę. Im czas przyszły był bliższy czasowi teraźniejszemu, to tym te narody łatwiej oszczędzały, bo to było bardziej namacalne, bardziej powiązane z tu i teraz. Im bardziej czas przyszły był oddzielnym czasem, to tym przedstawiciele tych narodów mniej oszczędzali, ponieważ to było kiedyś tam w przyszłości, oddzielone od teraźniejszości.

Czy język polski jest na takiej skali bliski, czy daleki?

My mamy to jasno określone w przyszłości. Możemy powiedzieć, że teraz robimy coś tam, ale za ileś będziemy robić coś innego. Są języki, w których nie ma takiego jasnego określenia, my mamy to łatwo określone w czasie, więc trudno nam oszczędzać. To jest pewien koncept, który musimy sobie wyobrazić.

Gratyfikacja jest odsunięta w czasie.

To jest trudne. Wybierzemy 100 zł teraz, a nie 1000 za rok. Chodzi o to, że w tych badaniach pokazują, że język kształtuje nasze myślenie. Więc też możemy wybierać, jak my sami ten język kształtujemy, właśnie poprzez te słowa. Mam kilka takich słów, które to potwierdzają, np. „muszę”, „nie chcę”, „powinienem”, „nie mogę”. Bardzo nie lubię słowa „spróbuję”, ponieważ oznacza ono, że spróbuję nie mówić, co tak naprawdę zrobię. Spróbuję się z Tobą spotkać, więc co? Pomyślę o tym.

„Do or do not. There is no try” – cytat z mistrza Yody. Dla mnie stoicyzm Yody z „Gwiezdných wojen” to też jest mistrzostwo świata. Nie jestem jakimś szczególnym fanem fantastyki, zwłaszcza takiego science fiction, gdzie pojawiają się roboty, przyszłość, wolę fantastykę typu „Malowany człowiek”, „Droga królów” czy Trudi Canavan, która jest takim disco polo w literaturze fantastycznej, ale dzięki niej otworzyłem sobie bramkę do takich książek. Natomiast te teksty mistrza Yody, które wynikają z całego kontekstu, są naprawdę piękne. Jak mówi: „Rób albo nie rób. Nie ma czegoś takiego jak próbowanie”, to to jest naprawdę dużo warte.

Wspominałeś we vlogach, że miałeś wypadek motocyklowy i gdy tylko się wykurowałeś, wskoczyłeś z powrotem na motocykl. Co pomaga działać w ten sposób?

Myślę, że *learner*. Świadomość tego, że najlepszą metodą na to, żeby nie zamontować sobie w głowie jakiegoś bardzo dużego strachu i jakiejś traumy, jest to, aby od razu sobie z tym poradzić. Miałem w życiu kilka traum takich jak wypadek motocyklowy. Od tamtego czasu mam duży problem z jazdą w deszczu, bo wypadek miałem w listopadzie podczas mżawki. Ciągnąłem 40 m po asfalcie, zanim odsunąłem od siebie motocykl. Nic mi się właściwie nie stało, pomimo tego, że wyleciałem w powietrze, miałem złamany obojczyk w czterech miejscach. To jest nic w porównaniu do tego, co mogło się stać. Gdyby te dwa samochody zjechały kawałek dalej, to mogłyby przejechać mi po kręgosłupie i pewnie niewiele by ze mnie zostało. Facet, który spowodował wypadek, wymusił, skręcił w lewo przede mną. 80% wypadków motocyklowych w Polsce to wymuszenie pierwszeństwa przy skręcie w lewo przez samochód, a nie to, że motocykliści są idiotami, jeżdżą na jednym kole między samochodami. To też się zdarza, ale to jest odsetek. Facet nie wysiadł z samochodu, tylko zapalił fajkę i stwierdził, że mnie nie widział, podczas gdy ja byłem we wszystkich odbłaskowych rzeczach, jechałem 70 km/h. Wiedziałem, że jeżeli to zostawię, to później długo, długo nie wsiądę na motocykl. Więc kupiłem motocykl i w marcu pojechałem na tory, gdzie się ścigałem. Znowu miałem wypadek na motocyklu – zламаłem sobie kość łódieczkową w pół. Po pięciu, sześciu tygodniach znów jeździłem.

To jak spaść z konia i wskoczyć na niego z powrotem.

Dokładnie tak. Swoją pierwszą traumę miałem w wieku 16 lat, gdy na ulicy napadli mnie chłopaki z nożami. Kwiecień, 15.40, centrum miasta, wyszedłem ze szkoły muzycznej, miałem w ręku klarnet za 12 tysięcy, a w kieszeni Nokię 3510i z kolorowym wyświetlaczem, wartą wówczas niebotyczną kwotę 350 zł. Chcieli mi zabrać telefon. Zacząłem im opowiadać, że nie mam telefonu itp. Później przed nimi uciekałem. Pamiętam ten moment, gdy oni otwierają te noże i próbują mnie złapać, przeskakują między samochodami, wybijam sobie biodro, wpadam do tej szkoły muzycznej, która była na szczęście zablokowana przez portierkę, oni wpadają za mną. Nie zrobili mi krzywdy. Ja później nie byłem w stanie wyjść na ulicę. Przez pierwsze dwa tygodnie rodzice odbierali mnie ze szkoły, wprowadzali drzwi w drzwi, bo ja się tak strasznie bałem. Wtedy po raz pierwszy wylądowałem u terapeuty, który musiał wykorzystać różnego rodzaju narzędzia, aby mi pomóc, bo ja wszędzie widziałem zagrożenie. Gdy mój tato odebrał mnie z liceum i szedł ze mną do ich miejsca pracy – mieliśmy do przejścia z 1200 m – to ja wszedłem tam tak rozedrgany, zapłakany, że moi rodzice, mimo że są pedagogami z wykształcenia, nie

byli w stanie sobie ze mną poradzić i musieli poprosić kogoś innego o pomoc. To była moja pierwsza terapia, ale to nie była moja pierwsza trauma. Pierwszą traumę miałem wtedy, gdy pogryzł mnie owczarek kaukaski moich dziadków.

Kończąc podcast, proszę Cię, abys powiedział, gdzie można znaleźć więcej informacji na Twój temat i jaką książkę polecasz do poczytania lub coś do obejrzenia.

Można mnie wygooglować jako Ludwik C. Siadlak. Jeśli chodzi o coś do poczytania, to myślę, że mógłbym polecić coś w kontekście stoicyzmu, o którym rozmawialiśmy, w kontekście różnych wyznań – „Potęga podświadomości” Josepha Murphy’ego. Najpierw warto poczytać sobie o historii tej książki. W Polsce w niektórych kręgach dzieje się tak, że religia jako taka, ze względu na działania dominującego kościoła, jest postrzegana bardzo negatywnie. Jeśli ktoś jest mocno wierzący, to na pewno jest moherowym beretem, wkomponowuje się w konkretną partię polityczną i już w ogóle skreślamy takiego człowieka tym krzyżykiem, który ma być ikoną danego kościoła. Warto poczytać o autorze, który jest doktorem filozofii, kształcił się w Indiach, kształcił się u Jezuitów, sam otworzył jakiś kościół New Age. Pozbierał te wszystkie rzeczy i opublikował je w jednej książce, tzw. *cornerstone*, czyli w takim głównym jego dziele. Jeżeli nazwiesz podświadomość Bogiem, superego, id czy mocą, czy tak jak Silva mówi w swojej metodzie, że to jest właśnie ten kosmos, wszechświat, *eternal knowledge* czy cokolwiek innego; jeżeli podmienisz sobie słowo „Bóg” czy „podświadomość” na to, co jest dla Ciebie najważniejsze, na to, co masz w swoim sercu, bo każdy z nas w coś wierzy, nawet jeżeli wierzysz w to, że $E = mc^2$, to książka ta pokaże Ci realne przykłady tego, jak nasze myślenie, nastawienie, te słowa, o których mówisz, mogą zmienić to, na ile jesteśmy w stanie po południu, wróciwszy z dowolnych aktywności, czy to jest jazda motocyklem, czy prowadzenie bardzo trudnego szkolenia, stwierdzić, że jest naprawdę dobrze.

Dzięki, Ludwiku!

Bardzo Ci dziękuję, zarówno za naszą dzisiejszą rozmowę, jak i te poprzednie. Twoja działalność, Twoja aktywność bardzo dużo zmieniła w moim życiu, w moim podejściu do różnych rzeczy, w mojej relacji małżeńskiej, dzięki temu, że cały czas rozmawiamy o tym z żoną. Dała dodatkowy filtr, który pozwala mi na zrozumienie tego, co wcześniej czułem intuicyjnie, a teraz mogę to nazwać, plus to, co zrobiłeś w trakcie naszej rozmowy patronowej, gdzie pokazałeś mi, że jeden talent można wyłuskać za pomocą innych, to mi zryło beret totalnie. Jestem Ci za to wdzięczny.

Odwdzięczyłeś się tą rozmową. Dzięki i do usłyszenia.

Dzięki, do usłyszenia, cześć.

Jestem ogromnie ciekawy, jak Wam się podobała rozmowa, bo nie jest taka jak w innych odcinkach. Uwielbiam jednak takie rozmowy, kiedy stykam się z człowiekiem i nagle czas przestaje mieć znaczenie i zaczynamy rozmawiać sobie o różnych tematach, inspirujemy się i każdy z nas nakierowuje się na nowe tematy, inspiruje do kolejnej dygresji, kolejnego odejścia od głównego tematu rozmowy.

Nagrywanie tego podcastu transmitowałem na żywo na Instagramie. Pojawiło się wtedy trochę pozytywnych opinii. Widać było, że to jest naturalna rozmowa. Dziękuję bardzo Ludwikowi za to, że zechciał mnie gościć u siebie w domu, za przepyszna kawę i oczywiście za inspiracje, a Wam za wysłuchanie tego odcinka. Z góry dziękuję za wszystkie komentarze i dyskusje, które pojawią się pod

wpisem do niego na blogu lub na Facebooku. Oczywiście wszystko znajdziecie pod adresem npp.run/063.

Dzięki jeszcze raz za wszystko, patronom i słuchaczom, i do usłyszenia w kolejnym odcinku. Cześć!

